Nr. 5 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 marca 1931 | Rok 53

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 20) zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze . . .	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *).			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi . . .					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany . . . . . oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

TREŚĆ NUMERU 5:

Nr. 5 We Lwowie, 1 marca 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

IV

Antylopy krowie i żebry (Ngondo na Mbidzi)

(Ciąg dalszy)

Nieraz wśród setek rozmaitej zwierzyny, rozrzuconej na znacznym obszarze, spokojnych i nie przeczuwających zbliżanie się człowieka — pierwsza „Ngondo" podnosiła alarm, dostrzegłszy go z nieprawdopodobnej, jak na zwierza, odległości. Niepokój, jaki potrafiła wzniecić wśród tej licznej rzeszy, przebiegając z miejsca na miejsce, był dostateczny, aby wszystko na okół pobudzić do ucieczki.

W jednym dniu w podchodzie do łosi afrykańskich (Eland), które niespodzianie odkryłem na stepie przy małem poidle w towarzystwie innych antylop, zeber i dzików — ranek i część popołudnia strawiłem na bezowocnej próbie dostania ich na możliwy strzał, a to tylko z powodu obecności stada „Ngondo", które mi ciągle sprawę psuły.

Zraniłem dwie sztuki, strzelając na daleką odległość, i te często w czasie gromadnej ucieczki w tyle zostawały, — nie doszedłem mimo to więcej do strzału, — bo gdy tylko chciały przystanąć, pędzące w galopie „Ngondo", podrywały je do dalszego wysiłku.

Ile wtedy kilometrów upędziłem, wiedziały tylko moje nogi, które wkońcu odmówiły mi posłuszeństwa. — W ciągu siedmiu lub ośmiu godzin zakreśliwszy dwukrotnie olbrzymie koło, z którego Elandy wyjść nie chciały — znalazłem się pod wieczór znowu na tym samym punkcie, gdzie je zacząłem podchodzić. Podczas tej drogi pogubiły się dziki i zebry a wreszcie także nieszczęsne antylopy krowie, i możebym teraz zdołał już przyjść do strzału, bo Elandy były widocznie wyczerpane — gdyby nie brak sił do dalszych wysiłków.

Nazajutrz nie byłem w stanie ruszyć się z obozu. — Przeklinałem „Ngondo", jako przyczynę niepowodzenia, ale przekonawszy się, jak skutecznie sprawowały straż nad Elandami, pilnując uparcie moje ruchy i alarmując zawczasu te ostatnie — musiałem sobie wreszcie powiedzieć, że między niemi nie było wówczas żadnej „zbzikowanej"

— — — — — — — — — — — — —

Rogi antylopy krowiej nie stanowią trofeum, do którego można się zapalić i zbieracze takich osobliwości nie bardzo się o nie ubiegali. Nie miały też antylopy krowie z tego powodu tak zajadłych prześladowców, jak inne antylopy o pięknem porożu, skutkiem czego — z wyjątkiem południowej Afryki, pozostała jeszcze ona dość powszechnem zjawiskiem na czarnym lądzie. Dla białego myśliwego ma ona wartość i z tego względu, że dostar-

cza doskonałego mięsa, które mu przypomni — tak często w Afryce brakującą wołowinę. Można z niego mieć i wyborne „Roast-beef“ i niezły rosół, do czego nadają się doskonale kości szpikowe. Niestety któż z myśliwych dba o kości podczas polowania?.. dostają się one zazwyczaj czarnej służbie, która widząc, że ich biały pan o nie nie dba — eskamotują zawczasu ten smakołyk dla siebie. Można także zalecić smakoszom i nieco podwędzoną wątrobę z tej antylopy, która daje smaczną przystawkę na zimno.

— — — — — — — — — — — — —

Powiedzenia kafrów, że tam gdzie są zebry, znajdą się i antylopy krowie — „Ngondo na Mbidzi“ *) — sprawdziłem niejednokrotnie; zwłaszcza na stepie— gdzie mięszały się z zebrami, jakby należały do stada — widoczną była pewnego rodzaju symbioza.

„Ngondo“ posiadają doskonały węch i słuch, a szczególnie wzrok. Orjentacja wzrokowa na dalekie dystanse, to ich specjalny przymiot, którym pozyskują sobie przyjaciół pośród rozmaitego zwierza stepowego, bo dają im znać o niebezpieczeństwie, dla nich jeszcze niedostrzegalnem. Korzystają z tego w pierwszym rzędzie zebry, jako te, które pod względem wzroku, są bodaj najbardziej upośledzone.

— — — — — — — — — — — —

Osobliwością — a także ozdobą krajobrazu afrykańskiego jest tamtejszy pasiasty konik-zebra. Nic bardziej nie ożywia ponurych czasem, zwłaszcza w porze suchej, terenów łowieckich, jak zebra, oryginalnością swej szaty i szlachetnemi kształtami. Pośród setek przeżuwaczy, jakiebyś tam zobaczył, wybija się na pierwszy plan ten konik — estetycznym swym wyglądem.

A może tylko nam — białym tak się wydaje? Może dla tego oko nasze z zachwytem biegnie za sylwetką tego, nieujeżdżonego wierzchowca, że dla konia żywimy specjalne upodobanie? Bo zapewnie czarny człowiek inaczej tę sprawę osądza, skoro mimo tysięcy lat współżycia z tem zwierzęciem, tak mało dlań znalazł zainteresowania, że dotychczas nie przyswoił go, ani też nie wykorzystał dla swoich celów.

I wyobrazić sobie, jakaby to była sharmonizowana w kolorycie całość: nagi, czarny jeździec — oklep na zebrze!...

— — — — — — — — — — —

Zebra, jako powszechnie znane zwierzę egzotyczne — nie potrzebuje osobnego opisywania. Dodać jednak muszę, że kontynent afrykański ma zeber odmian kilka,



♂ Żebra

z pośród których wymienić wypada najwięcej znane, jako to: Equus tigrinus Burchdli, E. t. Grevyi, E. t. Chapmani i Granti, oraz Equus Quagga.

Która z tych odmian byłaby zebrą — Equus tigrinus par excellence — jest jeszcze kwestją sporną. Wprawdzie p. Selous widział w nieistniejącym już od lat pięćdziesięciu — typie południowo-afrykańskim, (tzw. Mountain Zebra) właściwego przedstawiciela tej grupy koni pasiastych, ale wyprowadzony na światło dzienne przez p. Johnstona typ środkowo-wschodni, może zachwiać to twierdzenie. Typ ten ostatni bowiem posiada

*) Ngondo na Mbidzi (kafr.) = antylopa krowia i żebra.

JAN ŻMUDA w Chicago

Przygoda Jana Pokornego, kowala a kłusownika z gajowymi i żandarmami

Fakt, poniżej podany, miał się wydarzyć przed wojną światową, a opowiadam go tu w tej intencji, by gajowi i strażnicy łowieccy uprzytomnili sobie, jakich to sztuczek chwytają się sprytni kłusownicy i jakimi śledzących ich działalność w pole mogą wyprowadzić.

Józef Pokorny, gospodarz rolny, a zarazem kowal, posiadał jeszcze trzeci zawód, który choć nie zgadzał się z siódmem przykazaniem i z kodeksem karnym, przynosił w pomyślną chwilę pieczeń dziczą lub sarnią albo choć skromnego szaraka, głuszcza lub tegoż kurę. Pomimo bowiem ciężkich rąk kowalskich, był Pokorny celnym strzelcem, a w lasach dokoła wsi było sporo cudzej zwierzyny. Miał on też pomocnika Janka i syna Florjana i z nimi najczęściej wychodził na swe tajne łowy do lasów hr. L. Pojedynkę składaną chował pod kabat, laskę brał do ręki, pomocnika i syna używał do nagonki lub brał ich ze sobą na czaty, aby w potrzebie ostrzegli pana majstra, że jest coś nie w porządku i coś podejrzanego. Razu pewnego, późną porą jesienną, ubił Pokorny pięknego, choć nieco młodego rogacza, nie brał jednak zdobyczy zaraz do domu, przewidując słusznie, że dany strzał może go zdradzić, lecz zwołał tylko swych pomocników i ukrył z nimi rogacza w lesie, pod stosem głogowych gałęzi, poczem wrócił z nimi, jakby nic nie zaszło, do warsztatu. — Naturalnie, że pomocnicy, czeladnik i syn, mieli nakazane trzymać języki za zębami, inaczej biada by im była, bo pan majster i pan ojciec nie żartował, a miał silną rękę i pięść!

Jeżeli jednak nie mógł Pokorny zawrzeć gęby swej

nie tylko najpiękniejsze kształty, ale także jest najdokładniej paskowany, a przytem — największy staturą od wszystkich znanych typów.

Pozostawiając rozstrzygnięcie tej kwestji czynnikom bardziej do tego powołanym — zaznaczam, że używając dla typu środkowo-wschodniego nazwę naukową Equus tigrinus — pragnę korzystać z niej tymczasowo, a zarazem dać wyraz zachwytu, jaki mi zawsze sprawiał widok tych koników na wolności.

W okolicach dolnej Zambezy, nad Szirą, oraz u południowych brzegów jeziora Njassa — gdzie polowałem — spotykałem tylko tego typu zebry — o innych przeto odmianach nie wiele mam do powiedzenia. Zebry te znajdywałem tak w kraju nizinnym, jakoteż na wyżynie — na suchych terenach stepowych, w rzadkich lasach niskopiennych, niemniej na niezbyt stromych zboczach podgórskich — skalistych i słabo zalesionych.

Stada, jakie tam miałem sposobność obserwować, nie liczyły nigdy więcej, jak kilkanaście do dwudziestu sztuk. Być może, że w czasie wielkiej posuchy, jaka towarzyszy porze zimowej — łączą się i zebry tu i tam we większe stada, takie jednak wypadki nie miały miejsca na terenach przezemnie zwiedzanych — nawet w latach największej suszy.

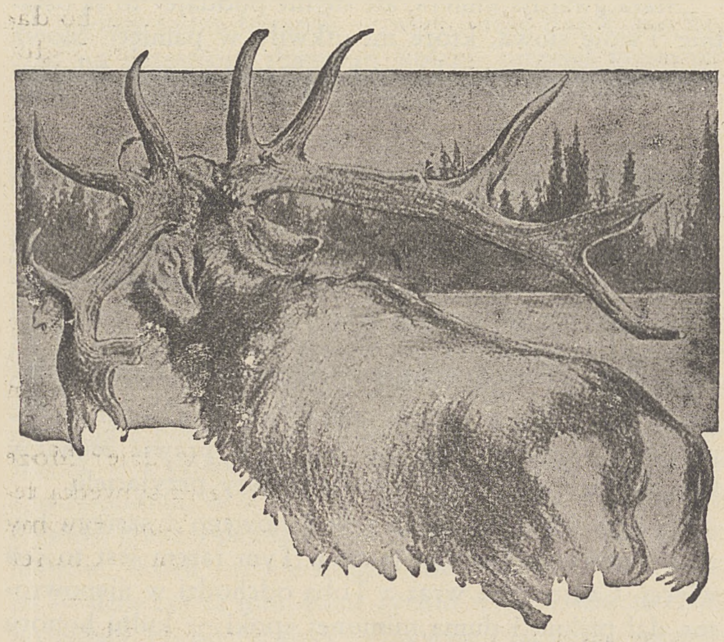
Stado prowadzi zazwyczaj stary ogier. Niespokojna to i zjadliwa bestja, tyranizująca całe otoczenie, zwłaszcza młodszą generację swej płci, nad którą wprost się pastwi.

Widziałem niejednokrotnie jak ogier taki gryzł i kopał inne osobniki z uporem maniaka. Chwyciwszy swoją ofiarę zębami za kark — prowadził ją w kółko, starając się wierzganiem uderzać w brzuch — sam niejako zabezpieczony od ataku przeciwnika, który tylko donośnym kwikiem zdradzał swą bezsilną wściekłość. Mimo to wpływ tego przewodnika na stado musi być wielki, skoro po zastrzeleniu go — reszta staje się bezradną, i dałaby się wystrzelać do nogi bez wielkiego wysiłku ze strony myśliwego.

Jak mi myśliwi-tubylcy opowiadali — staczają ogiery w czasie konkurów o klacze — zacięte walki między sobą. Z takich walk wychodzą często obaj przeciwnicy poważnie pokaleczeni. I nic dziwnego, skoro się zważy jak twarde i ostrokańciaste mają kopyta — a również uzębienie potężne, którem umią w walce posługiwać się z powodzeniem.

Do ranionej zebry należy zbliżać się z ostrożnością, aby nie być chwyconym zębami, co zdarza się zazwyczaj w chwili, gdy się tego najmniej spodziewamy. Doświadczyłem tego sam, gdym raz do śmiertelnie ranionej zebry, bezwiednie od strony głowy podszedł. Jeden nagły ruch postawił ją na przednie nogi — drugi, po wyciągnięciu szyi — zbliżył jej mordę do mej piersi, o którą się prawie zębami otarła. Jeden centymetr jeszcze, a byłbym może poważnie skaleczony.

(C. d. n.)



pojedyńczej lankastrówce, to i tu mu szczęście sprzyjało, bo ktoś inny był jeszcze bardziej gadatliwym.

Pomiędzy obszarami dóbr hr. L. a wioską śląską K. gdzie Pokorny miał swą posiadłość, była też i gospoda albo raczej „Gasthaus" a właścicielem tejże był jego kolega szkolny, wysłużony führer austrjacki Fr. Prohaska. W gospodzie p. Prochaski było nietylko dobre piwo wiedeńskie i pilzneńskie ale i dobre przekąski, a czasem pieczeń i torty. A pieczeń nieraz była znakomitą, zwłaszcza gdy Pokorny dostawił zwierzynę sprzątniętą w cudzych rewirach.

Gospodę tę odwiedzali i gajowi hr. L., a ci nieraz łamali sobie głowy nad jakimś tajemniczym strzałem lub nad zniknięciem jakiegoś znanego im dobrze rogacza. — Daremnie się silili, aby ująć sprawcę coraz częściej dostrzeganych kradzieży. Była w tem ich własna wina — nie wina niedbalstwa lub opieszałości w służbie, lecz zbytniej gadatliwości. Bo schodząc się w gospodzie Prochaski i tam zalawszy sobie czasem czuby, opowiadali zbyt głośno o tem co się w ich rewirach wydarzyło lub układali głośno plany przeciw kłusownikom, a te opowiadania nie uchodziły uwagi Prochaski, który je udzielał zaprzyjaźnionym kłusownikom, a oczywiście także swemu koledze Pokornemu.

Tak też było i z owym rogaczem ukrytym pod chróstem i trawą w lesie. I wtenczas, panowie gajowi gadali zbyt głośno u Prochaski, że kłusownik ubił tej nocy lub wczoraj wieczór rogacza i że oni już zdobycz znaleźli przy pomocy psa tropowca, a teraz zaczekają na tego, kto po rogacza przyjdzie. Prochaska nie dał po sobie poznać, że rozmowę podsłyszał, a w myśli rzekł sobie: „Trzeba ostrzec kolegę Pokornego, by idąc po rogacza, miał się na baczności".

Tego samego wieczora wybrał się Pokorny ze swymi

Pamięci Aleksandra Przedrzymirskiego

Pozwalam sobie przesłać Szanownej Redakcji odpis mowy nad trumną śp. Aleksandra Przedrzymirskiego wypowiedzianej przez p. Ludomira Wolskiego, z prośbą o umieszczenie jej na łamach „Łowca".

Grom padł oto z jasnego nieba między nas! Nie oprzytomniliśmy jeszcze, by zdać sobie sprawę z tego ciosu, który nas dotknął i dlatego bez słów prawie stoimy nad Twoją trumną. Jakże to? Jeszcze brzmi w uszach huk strzelb na polowaniu i gwar ożywionej rozmowy, jeszcze stoi w oczach twarz Twoja opromieniona uśmiechem serdecznego gospodarza — a dziś mamy Cię składać do grobu i rzucać grudy zmarzniętej ziemi na Twoje serce? Buntują się serca nasze przeciw zrządzeniu losu, ale w najtajniejszej głębi czujemy, że woli Twojej stało się zadość, że tak właśnie pragnąłeś nas opuścić.

„Stara gwardja umiera, ale się nie poddaje" to są ostatnie Twoje słowa, które mi utkwiły w pamięci. Słowa sztandarowe, słowa w których pobrzmiewa echo tylu bohaterskich spotkań ze śmiercią. Tak odszedłeś, rzucając rękawicę śmierci. Odszedłeś tak, jak żyłeś nieskazitelny i nieugięty za Twojem wielkiem umiłowaniem honoru, myślistwa i przyrody.

Życie spędziłeś na roli, nad ukochanemi stawami i w kniei. Mimo głębokiej wiedzy przyrodniczej nie szukałeś rozgłosu, ni blichtru reklamy. A jednak danem Ci było zadośćuczynienie, że Twoje zdanie przeważało na łamach pism i że do Ciebie właśnie szliśmy wszyscy po serdeczną radę i u Ciebie szukaliśmy niezawodnego oparcia w sprawach honoru. Bez słów prawie żegnamy Cię dzisiaj najdroższy i najwierniejszy przyjacielu.

Ile razy śmierć wytrąca kogoś nowego z szeregu bliskich, powstaje bolesna pustka. Tym razem jest to coś więcej. Czujemy że wraz z Tobą odchodzi w niepowrotną dal piękno i duma minionej epoki — kultu honoru i szlachetnej tężyzny. Dlatego prawdziwa cześć niech będzie Twojej pamięci.

— — — — — — — — — — —

Jako najbliższemu sąsiadowi niech mi wolno będzie dorzucić tych kilka słów ku uczczeniu pamięci wielkiego myśliwego, hodowcy, estecie w słowie i sprawach honoru, przyjacielowi, z którym niejedną godzinę spędziłem, słuchając barwnych opowiadań o myślistwie z lat minionych, o towarzyszach wypraw myśliwskich, którzy przed Nim odeszli na łowy do św. Huberta. A wiedział też, że wszelkie Jego wskazówki i nauki nie trafią w próżnię, lecz zostaną z wdzięcznością i zrozumieniem przyjęte.

Czując, że może ostatni raz odbiera należny mu się haracz od umiłowanych pól i lasów, żył do ostatniej chwili jedną myślą, aby dać rewanż i zgromadzić pod gościnnym dachem po raz ostatni sąsiadów gotowych na Jego apel.

I tego doczekał, a w cztery dni później odszedł, ale duch Jego pozostanie wśród nas, bo pozostawił lukę niezastąpioną; z Nim odszedł ten, który był uosobieniem humoru i dowcipu, myśliwy, esteta, ten który łączył całą okolicę, aby uczyli się i umieli kochać przyrodę.

Niech ta ziemia, którą tak ukochał przez piękno przyrody, lekką Mu będzie.

Z. W.



---

dwoma pomocnikami po swoją zdobycz, lecz tym razem bez lankastrówki, bo tę po zabiciu rogacza ukrył w lesie w dziuple starego drzewa, a takich kryjówek miał on dla swej pojedynki więcej i raz ją tu, drugi raz w innem miejscu ukrywał. Wiadomo, że kłusownicy zwykli nazywać takie kryjówki „kaplicami".

Droga Pokornemu wypadała koło gospody Prochaski, gdzie oczywiście nie omieszkał wstąpić. Zapytany gdzie się tak wieczorem wybrał, Pokorny nie zataił koledze celu swej wyprawy, którą nazwał chodem na „pogrzeb". Prochaska nie zaniedbał ostrzec pana majstra, że w rewirze czeka na niego leśniczy z gajowymi i żandarmami i radził mu do domu zawrócić.

Niewątpliwie każdy inny byłby skwapliwie do takiej rady się zastosował, lecz Pokorny oświadczył pewny siebie: „Niech sobie pilnują. Co ja o nich dbam! Oni mnie i tak nie dostaną! — Florek idź pod krzywą sosnę, gdzie jest moja „Kasia" ,wyjdź na drugą stronę polany, za pagórek lisi i daj dwa strzały, powolne, jeden i potem jeszcze jeden"...

Po strzałach Florka gajowi i żandarmi porzucili czaty w pobliżu zabitego rogacza, a poszli w stronę strzałów, aby uchwycić domniemanego nowego kłusownika, tym razem na gorącym uczynku. Tego tylko czekał Pokorny, który tymczasem chyłkiem, jak lis, przeszedł poza ich plecami na miejsce, gdzie leżał rogacz i zabrawszy go na bary, uszedł z nim z lasu, skąd się też Janek i Florjan wynieśli inną stroną.

Oczywiście, że gajowi i żandarmi, po nieudałym pościgu za „świeżym kłusownikiem" powrócili na miejsce swych uprzednich czat, lecz tu wkrótce stwierdzili, że nie mają już na co dalej czekać.

JAROSŁAW HUBÁLEK

BUREK

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Ciąg dalszy)

— Nazajutrz leśny obejrzał krwawy trop, zbadał żelaza — i odgadł wnet, co się stało. Zaklął i splunął. Miał słuszną rację. Gdyby bowiem przynęta leżała tu sto lat jeszcze, wiedział dobrze, że wilk się na nią nie weźmie. Liczne tropy lisów i parę ich sygnałów — mówiło wyraźnie, że i im wystarczyło to, co tu widziały. Wszak jeden pokropił nawet żelaza — nie przykryte obecnie śniegiem...

Schował je wraz z łańcuszkiem do plecaka i poszedł do domu, rozmyślając po drodze nad swem niepowodzeniem. Czyżby źle założył pułapkę? — Wnosząc z tropu, był to młody wilk — tegoroczny — dziwne, że chodził samotnie. Wszak jego rówieśnicy chodzą jeszcze z matkami. Opuścić go nie mogła — więc chyba nie ma matki? Może ją stracił? A może to matka — jego straciła? Czyżby to nie był jego wilczek? Tu przyszły na myśl leśnemu wszystkie skargi pastuszków i gospodarzy na młodego, niedorosłego wilka, który zjawił się w okolicy w lecie — a w jesieni z pasją dusił im psy. Wspomniał na żywiołową nienawiść swego wilczka do Wjasa i wiedział już wszystko.

Prawie rad był, że żelaza nie chwyciły wilczka trochę wyżej. Postanowił bacznie kontrolować tropy, — pewny, że swego wychowanka zawsze odróżni od innych.

IX.

Przy podchodzeniu sarny spotkał się raz Burek z kolegą. Większy był i starszy znacznie od Burka — obwąchał młodzika ciekawie, Burek zaś spokojnie przeczekał oględziny, gotowy do obrony każdej chwili. Znajomość była zawarta, bukowy krzaczek kilkakrotnie pokropiony, długie rysy wydrapane na śniegu zadniemi nogami — słowem wszystko zgodnie z formami towarzyskiemi.

Bo wilki lubią w zimie towarzyskie łowy. W lecie na kozę, lub owcę idą w pojedynkę. Towarzysz Burka — dajmy na to, że się zwał Siwek, nietylko był starszy, lecz doświadczeńszy, silniejszy i chytrzejszy. Nie przeszedł coprawda tak ciężkiej młodości, jak Burek, matka prowadzała go prawie cały rok, opuszczając go wraz z rodzeństwem dla obowiązków nowego macierzyństwa. — A było to pod wiosnę. Niebawem rozpoczęła się pastwa kóz i owiec, a z nią stół obfity nawet dla głupszego wilka, niż Siwek. Kto wie zresztą, czy nowo zbratanych towarzyszy nie łączyło pokrewieństwo, a może nawet braterstwo? Dość, że na łowy wyruszali odtąd wspólnie i to przeważnie w nocy, dzień zaś przepędzali na odpoczynku, daleko od ostatniego łowiska. Siwek miał własne mieszkanie w Sokolich skałach, objęte po rysiu, który w zeszłym roku złapał się w żelaza. Barłóg był obszerny, dostatni dla dwóch wilków, trochę odległy, lecz wymarzony na lato, bo leżący w samym środku letniej ostoi sarn i jeleni. Za to w zimie — za żerem i słońcem schodzi zwierz łowny niżej, w doliny otwarte na południe — oczywiście — wilk idzie w trop, cofa się zaś w góry na dzienny odpoczynek.

Nasi wspólnicy rozdzielili wnet między siebie role. Siwek, jako starszy, silniejszy i chytrzejszy — czatował na przechodach zwierzyny — młodszy i lżejszy Burek miał za zadanie ją nadganiać. Zwierz, brnąc z trudem w głębokim śniegu — dążył wtedy do przechodów — jako tako przedeptanych — i na tem polegał cały plan łowów, tu zaczynała się rola Siwka. Olbrzymim skokiem rzucał się na gonioną sztukę, wgryzał się w gardło i po paru rozpaczliwych susach zwierz padał wraz z napastnikiem w miękki śnieg. Towarzysz nadbiegał niebawem. Ile wilk może pożreć — nim się nasyci, przechodzi wyobraźnię nie — myśliwego. Dwa — prawie nic nie zostawiają z dorosłej sarny.

Tak szczwali jelenie i sarny, czasem pogonili za mizernym szarakiem, tylko atakowanie dzika uważali za rzecz bezcelową i niebezpieczną. Że jednak młodość bywa i wilka żądna hazardu — więc i nasz Burek, nie bacząc na przestrogi starszego kolegi, zaczepił pewnego razu — wycinka. — Nie była to gruba sztuka — ot — przeciętny, dwuroczny wycinek, okazał się jednak rycerzem bez trwogi, w dodatku dobrze opancerzonym. Wszystkie szermiercze chwyty Burka były odparowane ryjem, karku ani rusz przejąć kłami, zaś o resztę pancerza obsuwały się zęby wilcze, jak o stal. Żeby go obalić na bok, lub chociaż chwycić za zadnią nogę... Dzik jednak, jak fryga toczył się na miejscu, wciąż tylko sztychem zwrócony do napastnika. Nie wiadomo, jak skończyłby się dla Burka pojedynek, gdyby dzikowi nie był nadbiegł z pomocą jego kolega. Na oślep rzucił się na Burka — i tylko stalowej sprężystości nóg ma on do zawdzięczenia, że z pierwszego spotkania z dzikiem nie wyniósł gorszej pamiątki nad rozdartą skórę na 10 centimetrów. Burek już nie ustąpił, ale wprost uciekł z placu — dzik zaś za nim. Ranę rychło wylizał, nauczka zaś pozostała, bo od tej pory — zawsze przezornie ustępował dzikom z drogi.

X.

Grasowanie w rewirze dwóch wilków nie uszło oka straży leśnej, jakkolwiek zaradzenie złemu — napotykało na olbrzymie trudności. Rozległość rewiru, niedostępność terenu, śnieg metrowej wysokości — uniemożliwiały otropienie. Tu szło nie o 20—30 hektarowe odcinki równinnego lasu, okolone duktami i linjami gospodarczemi, lecz o trzystu do piećsethektarowe szmaty puszczy górskiej. Obejść granice takiego miotu, gdy gajowy zapada po pas w śniegu — zajmie cały dzień — a zrobić obławę nazajutrz — nie ma celu; wilków na pewno nie będzie w miocie, poczują świeży trop ludzki i wyniosą się za dziesiątą górę. Stosowano też jedynie nagonki, bez poprzedniego otropienia — na los szczęścia.

Najspokojniej odpoczywały sobie nasze wilki po obfitej wieczerzy, gdy nagle Siwek wstał i zaczął wietrzyć —

bo od strony wsi dochodziły niewyraźne głosy ludzkie. Póki szły z jednego miejsca, nie były dla wilków groźne. Skoro jednak zaczęły się rozlegać po długiej linji frontu, mieszając z suchemi uderzeniami kijem o pnie drzewne, Burkowi na myśl przyszło polowanie, które raz już widział i jednej chwili gotów był do drogi.

Siwek uchodził z kierunkiem nagonki — środkiem zbocza, trzymając się gąszczy, a unikając starannie halizn. Burkowi zaś ten kierunek nie przypadł do smaku i ruszył prosto pod górę. Naocznie przekonał się już, że strzelcy obstawiają jedną stronę miotu — podczas, gdy boki są wolne. Toteż nie zmieniając raz obranego kierunku stanął szczęśliwie na szczycie zbocza i zginął w sąsiednich gąszczach — a hen z oddali doleciało go echo jednego, po chwili drugiego strzału.

Wróćmy jednak do Siwka. Zrazu rad był, że towarzysz go opuścił, w pojedynkę i ukryć się i przemknąć łatwiej. Ostrym tedy kłusem sunął w poprzek zbocza — nie przeczuwając, że dąży wprost w paszczę losu. Pierwszy dojrzał go — kontrolor podatkowy i zamarł w oczekiwaniu. Niestety nie był wytrawnym myśliwym, nie wiedział snać o tem, że wilk w miocie — to nie krótkowzroki zając, ani dzik nie zbaczający z raz obranego kierunku. Siwek — mimo znacznego oddalenia — dojrzał ruch broni, zwrócił na miejscu pod prostym kątem i rwał prosto pod górę, choć szło to ciężko po grubej warstwie sypkiego śniegu. Lewem okiem pochwycił znów jakiś nieznaczny ruch wyżej nieco, niż poprzednio — w następnej zaś sekundzie ciszę leśną przerwał suchy trzask strzału. Półpłaszczowa kula ugodziła Siwka w zadnią nogę. Poczuł bolesne ukłucie, potem bezwład w nodze — lecz szedł dalej. Drugi strzał — i kula uderzyła w krzyż. W oczach się zaćmiło i padł w ogniu. Bezwład zupełny, jakby coś przemocnego zgruchotało mu wszystkie kości. A tu już podąża doń szczęśliwy strzelec, gajowy. Wilk wyszczerzył jeno kły i zebrał wszystkie siły, by powstać. — Napróżno! A tymczasem od tyłu sękaty dębczak spada na nos jego raz, drugi i trzeci, światło źrenic gaśnie, głowa wali się w śnieg i Siwek kona. Nie widzi już, jak towarzysze-myśliwi kładą szczęśliwego strzelca na jego zwłokach i koronują go tymsamym dębczakiem. Schodzi się bezładna nagonka, na końcu jej przodownik, stary Oleksa, który idąc na prawem skrzydle — znalazł trop Burka. Niezrównany tropowiec (a dawny kłusownik) meldował zaraz leśnemu, że ślad był dziwny, lewa bowiem przednia nie odciskała zewnętrznego pazura. Leśny zaś nie mógł się nadziwić, że wychowanek jego, szczenię tegoroczne — potrafi tak chytrze wymykać się skrzydłem. A tymczasem za strzelcami z wesołym rozgwarem ściągała się nagonka w dolinę wlokąc po śniegu na brzozowej gałęzi, uwiązanego do niej za dolną szczękę Siwka.

I to było ostatniem jego sznurowaniem po karpackiej puszczy. (C. d. n.)

Mozaika Dzicza

Dr. M. C.

„On”

(Dokończenie)

Na takich i tym podobnych przygodach minęła zima. Świat cały począł się znowu budzić z zimowego letargu, do nowego życia. Nastały ciepłe cudowne dni i noce, pełne aromatu nadchodzącej wiosny, trysnęło wartkim i bujnym nurtem życie a On rósł i mężniał. Coraz łatwiej przychodziło szukanie żeru, każdy dzień notował w komórkach mózgu nowe przykazania walki o byt, o życie; każda noc tajemnemi szeptami uczyła praw natury. Nauczył się rozróżniać ludzi bezpiecznych od takich, którzy mogą być groźni. Wiedział, że ci co głośno chodzą, wydając ciągłe okrzyki, nie robią nigdy krzywdy. Ubawiło ga raz nawet i sprawiło nieznane dotychczas zadowolenie, gdy latem, z wyrębu pełnego maliniaków, wypłoszył i swem ukazaniem się pchnął do ucieczki grupkę jagodziarek, Od tego czasu, gdy był w dobrym humorze, zadowolony z siebie i życia, a spotkał przypadkiem kobiety zbierające jagody, grzyby, lub susz, ruszał na nie z impetem, a gdy te z krzykiem poczęły uciekać, stawał, kręcąc z wielkiej uciechy ogonkiem, po chwili zaś wielce zadowolony ruszał z powrotem w knieje. Gdy był starszy, robił to samo z drwalami. Na naganiaczy w czasie obław szedł już ostro, a uderzał zawsze tam, gdzie było najgwarniej. Nie wiedział jednak dotychczas, co to psy.

Pierwszy raz ze sforą spotkał się, gdy miał pełnych trzy i pół lat. Zrazu, gdy go opadły, gdy wszystkie naraz wpiły się w najboleśniejsze części ciała, przestraszony, ogłupiały runął do ucieczki. To okazało się jeszcze gorsze. Prędko doszedł do bolesnego przekonania, że napastliwej zgrai chodzi głównie o szynki z przyległościami. W pobliżu więc grubego buka, kilkoma energicznemi rzutami ciała uwolnił zad od napastników i przywarł nim do pnia. Teraz psy otoczyły go ruchliwym, wściekle jazgocącym wiankiem. Początkowo ten jazgot go oszałamiał, niemiłosiernie boleśnie świdrował w uszach, w mózgu, w całej głowie. Chwilami stawał się nie do zniesienia. A przytem to ustawiczne doskakiwanie do boków, które trzeba było parować błyskawicznemi rzutami łba. Wreszcie zaczynało porywać go zniecierpliwienie, które stopniowo z każdą chwilą, z każdym nowym atakiem wrogów przeobrażało się w uczucie wściekłego, bo bezsilnego, gniewu. Parowanie ataków zaczęło męczyć swą beznadziejnością, a przytem rzucający się wiecznie ruchliwy pierścień psiej zgrai coraz bardziej się zacieśniał, nie tracąc nic ze swojej niedosięgalności. Oszczędzał teraz i tak naprózno dawanych ciosów gwizdem. Nabiegłemi z wściekłości krwią ślepkami, rozważniej obserwował napastników. Z jednego zwłaszcza nie spuszczał prawie wzroku. Był duży, żółty, mniej czynił wrzasku niż inne, zato wykorzystywał każdy moment, by skoczyć i wpić swe białe kły w jego skórę. Czynił

to zaś tak szybko i zwinnie, tak szybko umykał przed lecącym nań gwizdem, jakby był częścią jego własnego tułowia. Wreszcie doczekał się odpowiedniej chwili. Na nagły rzut psiego korpusu odpowiedział dobrze krótkiem, a strasznem swą błyskawicznością, cięciem szabli. Chwilę potem załatwił się z drugim.

Pozostałe trzy zmęczone i speszone śmiercią swych towarzyszy nie nastawały już tak wściekle, nie mniej jednak przyprowadzały go do pasji. Zapienił się; oczka rzucały wściekłe błyski, w gardzieli nurtował wartki strumień zburzonej gniewem krwi. W czasie, gdy rzucił ponownie łbem, by dojechać nim skaczącego do boku kundla, uchwycił wzrokiem ruch, a tuż za nim, wysuwającego się z za pnia — opodal rosnącego smereka — złożonego do strzału myśliwca. W tym samym momencie, w tym samym ułamku sekundy, rzucił się do ucieczki. I znowu trzy szybko po sobie następujące strzały, z których jeden rozorał głęboko powłokę lewego połcia, drugi ukłuł piekącem żądłem prawą stronę karku i rozpłatał ucho. Rrwał jak opętany. Oparł się dopiero w dalekim ostępie. Tam sprawił jeszcze jednego psa, dwa zaś pozostałe nękał ustawiczną szarżą, aż zmęczone, zziajane, odeszły.

Kark wygoił się szybko. Gorzej było z głęboko rozwalonym połciem. Lecz leśne błota wyciągnęły gorączkę, a kwas mrówkowy i żywica dopełniły reszty kuracyjnych środków natury i znowu zdrów, pełen siły, zaczął się włóczyć po kniejach.

Dużo razy od tego czasu spotkał się oko w oko ze śmiercią. Nieraz jeszcze orały mu mięśnie kule, nieraz opadała go zgiełkliwa psiarnia. W prawym pośladku nosił dwadzieścia jeden siekańców, którą to porcję otrzymał w podarunku od prawego właściciela łanu kartofli.

Raz przyparty przez psy i nagonkę z konieczności musiał wytknąć na linję myśliwych, i w tej to potrzebie zostawił blisko funtowy kawał mięsa wraz z piórami. Innym znów razem, rozwścieczony do ostateczności bólem utrąconego kulą łokcia i psiemi pijawkami uczepionemi do zadu, runął wprost na zabiegającego mu drogę myśliwego i mimo dwóch strzałów danych z bardzo bliska — na szczęście dla niego chybionych — wywarł straszną zemstę.

Minęło znów parę lat, a z niemi kilkanaście przygód, w których stawką gry było — życie. Zrobił się przez to ostrożniejszy jeszcze, jeszcze czujniejszy, nigdy nie popasał dłuższy czas w jednej kniei, zmieniając często miejsce pobytu i wybierając bardzo dalekie knieje na żer i legowisko.

Napadnięty przez psy starał się o to, by długo nie przystawać. Na żer wychodził o gęstym mroku, schodził zaś z pól pod osłoną matki-nocy. Wogóle był nieuchwytny mimo swego ogromu, jakim obdarzył go obfity w karmę dziesiątek lat. Jak w czasie swej młodości, tak teraz jeszcze więcej, unikał towarzystwa. Stronił od stad dziczych, a tylko syt chwały, wrażeń i dreszczów miłości, pędził dalej samotny swój byt.

Znali go w okolicy wszyscy. Leśnicy, gajowi, drwale. Poznawali go po siwo-rudych bakobrodach zwisających ze łba dwiema sumistemi wiechami, pod odciskach, jakiemi znaczył ścieżki swych dalekich wędrówek, po sposobie buchtowania, po ogromnych, niczem pługiem odwalanych skibach zakrzepłej mrozem darni.

Z iluż to jeszcze opałów potrafił się wyrwać szczęśliwie, iluż zasadzkom uszedł mniej lub więcej bezkarnie, nim nastał ów cudny zimowy ranek, wyiskrzony brylantami skrzepłej mrozem ponowy, który miał stać się jego... końcem. Myśliwi, gajowi, leśnicy nazywali go krótkiem, pełnem jednak znaczenia imieniem „On", On też był ciągle na ustach wszystkich z pod znaku św. Huberta, dla wszystkich równo pożądany i równo — nieosiągalny.

Wieczorem, który poprzedził — po trzydniowej kurzawie — ów ranek, „On" przechodząc z sąsiednich bramkowskich lasów, natknął się na siedzącego na pniu zadumanego gajowego. Następstwem tego spotkania, był wieczorem tegoż dnia otrzymany przezemnie telegram, który w trzech słowach: „On jest, przyjeżdżaj", zamykał całe tomy nadziei i marzeń myśliwskich. Przez przeciąg niespełna godziny, jaka została do odjazdu pociągu zdołałem się zebrać, zgwizdać spuszczonego już na nocną birbantkę „Organa", wyrwać się ścigającej mnie ze sweterem w ukochanych zawsze pieczołowitych rękach, matce i stanąć na stacji kolejowej odległej o trzy kilometry. O czwartej nad ranem zaś całowałem już wysmagane mrozem policzki serdecznego przyjaciela, kolegi i kompana niejednej myśliwskiej przygody w jednej osobie — p. F. S.

Przywitał mnie, uzupełniając depeszę słowami: „przyszedł wczoraj wieczór do Bramek, „Krepla" go widział". Trzeba tutaj wyjaśnić, że nazwisko „Krepla" nosił gajowy Juljan ochrzczony przez nas tą nazwą od tego, że zawsze niemożliwie „jechał" od niego alkohol, który pod mianem „krepli" w niewiarygodnych wprost porcjach wypijał.

Godzina siódma rano zastała nas już w kniei, do której przybyliśmy wraz ze śmierdzącym jak zwykle Kreplą i trójką dorodnych piesków. Plan akcji ułożony został momentalnie i równie szybko cicho i sprawnie wykonany. Po obcięciu kniei i skonstatowaniu, że „On" z gęstwin nie wyszedł, względnie że chociaż wychodził, jednak wrócił do bramkowskiej gęstwiny, ja z przyjacielem stanęliśmy w pobliżu wejściowego wczorajszego tropu, Krepla zaś z psami, poszedł wchodnym dzisiejszym, który prowadził w znane nam dzicze pielesze.

Stanąłem na stanowisku. Objęła mnie cisza uśnionej zimą, przykrytej śnieżnym całunem świerkowej kniei. Oczarował majestat i groźna powaga zakutych w srebrną, brylantami lśniącą zbroję — świerków. Z przepastnych, mrocznych głębin górskiego ostępu płynął bezszelestnie prastary zew matki-natury do niewiernego syna-człowieka, który ją zdradził i tak dla niej zobojętniał. Na myśl przyszła wizja tych czasów, kiedy praojcowie nasi tylko w tych lasach czuli się szczęśliwi, ich życiem żyli, pędząc ten zdrowy byt, nie spaczony tem co

dzisiaj określa się mianem — cywilizacji. Nagle! rozmyślania me i cichy bezruch zimowego ostępu, rozdarł urwany, krótki, jakby siłą wydarty z psiej piersi — szczek.

Obił się trzykrotnem, coraz słabszem echem po górskich uboczach i skonał wessany przez chciwe spokoju leśne gęstwiny. Serce skoczyło jak oszalałe i począł się tłuc żywym rytmem — w uszach, w gardle w skroniach. Ręce ścisnęły kurczowym, drapieżnym chwytem zimną stal sztucera. Każdy mięsień zesztywniał, stężał, gotów do spełnienia rozkazu najdrobniejszej podniety napiętych jak struny nerwów. A za tym pierwszym szczekiem, za chwilę, buchnęła cała kaskada zjadliwego psiego jazgotu, który zlewając się z echem, tworzył nieprzerwaną, chwilami tężejącą, chwilami słabnącą wrzawę. Im dłużej ona trwała, tem więcej uspakajał się rytm serca, tylko mięśnie tężały coraz więcej, myśl pracowała coraz intenzywniej, łowiąc z psiej „mowy" domniemane momenty walki, jaka rozgrywała się w głębi górskiego potoku. Odgłosy jej szły ciągle z jednego miejsca, aż wreszcie, powoli, podpełzać zaczęły w górę, w stronę, gdzie skupieni, zmienieni w słuch i pragnienie — czekaliśmy. Zawrzała znowu ukropem krew, jakaś niewidzialna ręka ścisnęła krtań, tamując oddech, a z głębi boru buchły dwa szybko po sobie następujące strzały. Psia kapela odpowiedziała na nie wściekłym wrzaskiem, który za sekundę przeszedł w prawdziwą arję gonu. Szedł ku mnie!.. Bliżej, coraz bliżej słychać było rzadki bas Urwisza, płaczliwy baryton Organa i zdławiony tenor Zagraja.

Zagrała knieja; odpowiedziało zgodnym akordem echo... i szła, niosła się hen, w czystem mroźnem powietrzu, ta jedyna, dla myśliwego tak droga, upragniona muzyka gonu, której rytm wybijało szczęściem rozkołysane myśliwskie serce. Z każdą chwilą bliżej i bliżej huczało głębokie „joch... joch" Urwisza, jękliwe „ach" Organa i uparte wysokie zawodzące „aj ajaj aj" Zagraja. Coraz żywiej waliło serce, tańcząc w takt psiej orkiestry.

Za chwilę — z deszczu opadającej z drzew okiści — zamajaczyła wśród szarych pni, czarna sylwetka zwierza. Szedł na kulawy sztych, równym posuwistym galopem. Wydał mi się jakiś mały, tak że przez chwilę zwątpiłem w to, że to „On". Równo jednak ze skokiem — przez zasłaniający go do połowy przysypany śniegiem zwał, równo z trzaskiem łamanych gałęzi, pokazał mi się w całej swej okazałości. Teraz mogłem ocenić jego wielkość. Zobaczyłem te siwo-rude wiechy i wspaniały czarny grzebień piór. Szedł nadal na kulawy sztych... wprost na mnie.

Przyznaję otwarcie, że zrobiło mi się wówczas trochę nieswojo. Tyle o nim przecież słyszałem z powiadań, no i sam byłem obecny na tem polowaniu, na którem poturbował p. K. Postanowiłem nie strzelać na sztych. Tymczasem odległość między nami zmalała do 40 kroków. Przyparty do pnia błądziłem muszką sztucera po jego rudym łbie, w okolicy między okiem a klapą ucha. Nigdy, do dzisiaj nie mogę sobie zdać sprawy z tego, co spowodowało, że pociągnąłem za cyngiel.

To co nastąpiło później, stało się tak nagle, tak błyskawicznie i tyle tylko dzisiaj pamiętam, że nim zdołałem zrepetować sztucer, „On" był już przy mnie, walnął łbem w pień smereka, za którym stałem i równocześnie gwizdem dojechał mię w lewe udo.

Waląc się w śnieg i grzebiąc pod sobą sztucer, zobaczyłem któregoś z psów w skoku przezemnie, a przez głowę przeleciała błyskawicą myśl, że za moment przeniosę się w krainę łowów ale... wiecznych. W następnym momencie skoczyłem na „równe" — jak to mówią — nogi, pewny tego, że za chwilę znajdę się znowu na ziemi, ale już pod powracającym w szarzy dzikiem. Jakże mile się zdumiałem, widząc o kilka kroków dzika stojącego do mnie tyłem z wszczepionemi w jego pośladki psami. Stał jeszcze, chwiejąc się sekundę lub może dwie, w następnej zaś, zwalił się ciężko w śnieg. Psia zgraja skoczyła na grzbiet, „On" zaś tylnemi rapetami „pisał" na śniegu ostatnią swą wolę. Jak długo stałem jak zahipnotyzowany, tego nie wiem. Z odrętwienia wyrwały mnie dopiero słowa nadbiegającego kolegi: „cóż ty tak sterczysz? Wydrą mu wszystkie pióra". Skoczyłem między psy, które darły dzika jak wściekłe. Teraz dopiero radość i szczęście zalały serce; skoczyłem do mego przyjaciela, rzuciłem się mu na szyję i wycałowałem jego zdumioną tym nagłym wybuchem czułości facjatę. Oglądaniu nie było końca. Półpancerzowa kula przyszła dokładnie w skroń, rozbiła kość w drzazgi i odwaliła niemal całą potylicę. Jak po takiej ranie zdołał skoczyć tych kilkanaście kroków, jak potrafił z taką siłą wyrżnąć gwizdem w moją nogę, że zwaliłem się jak podcięty kosą (a przecież cios osłabiło równocześnie uderzenie w pień świerka) i rozciąć szablą skórę i mięśnie na długości 8 cm. — to pozostanie na zawsze tajemnicą tej przepotężnej siły życia, która tyle razy wyrwała go z objęć śmierci.

Tak zginął „On", największy z zabitych przezemnie dzików, a ilekroć teraz — po sześciu latach — popatrzę na wiszące w mym gabinecie wspaniałe jego szable, długości 26½ cm (po obwodzie), tyle razy snuję nić niezapomnianych, szczęśliwych chwil i proszę św. Huberta, by pozwolił mi jeszcze raz chociaż w życiu spotkać się z takim jak „On" dzikiem; by chociaż raz jeszcze w życiu doznać tego rozkosznego, niczem niezastąpionego dreszczu emocji myśliwskiej.



Daty balistyczne

polskiego bezdymnego prochu śrutowego „Sokół,

napisał Inż. Walery Maryański, generał bryg. w s. s.

(Dokończenie)

Oprócz prób przedstawionych w powyższej tabeli przeprowadzono w Państw. Wytwórni Prochu w Zagożdzoniu cały szereg bardzo ciekawych prób mających na celu ustalić zachowanie się prochu „Sokół“, wystawionego na rozmaite wpływy temperatury i atmosfery a mianowicie na zimno, gorąco i wilgoć.

Te próby są szczególnie w naszym klimacie bardzo ważne — bo przecież poluje się u nas w zimie przy dużych mrozach, na wiosnę i w jesieni przy mgle, deszczu itp. — a więc w warunkach, które absolutnie bez wpływu na działanie prochów bezdymnych pozostać nie mogą. Chodzi tylko o stwierdzenie, w jakim stopniu ten wpływ się objawia.

Ponadto badano wpływ intensywnego n a g r z a n i a, (jak to może mieć miejsce w klimacie tropikalnym pod działaniem słońca) wzgl. w y s u s z e n i a (np. przy przechowywaniu nabojów przez dłuższy czas blisko pieca, kaloryferów itp.).

Próby te miały również charakter porównawczy; przeprowadzono je równocześnie i w jednakowych warunkach, biorąc jako objekt porównawczy niemiecki Rottweil, jako dotąd najlepszy i najbardziej w świecie używany.

Niżej podana tabela przedstawia przeglądowo rezultaty tych prób, przeprowadzonych pod kontrolą i nadzorem organów M. Spraw Wojsk. — dają więc one, co się objektywności i gruntowności tyczy — pełną gwarancję.

Przypatrzmy się uważnie tej tabeli:

Rubryka I.

Zawiera daty w n o r m a l n y c h warunkach, przy temperat. + 4° C. Podaję ją umyślnie, by Sz. Cz. ułatwić porównanie. Zwracam zaś szczególnie uwagę na okoliczność, że przy tych próbach mierzono chyżość nie w 5-tym, lecz w 12.5 metrze od wylotu. Stąd różnice w chyżości między tabelą 1 (na stronie 3) a tabelą 2 (na stronie 7).

Rubryka II.

Odnośnie do m r o ż e n i a nabojów trzeba przedewszystkiem zaznaczyć, że — o ile dawny proch czarny prawie zupełnie na niskie temperatury był niewrażliwy — o tyle w s z y s t k i e bez wyjątku p r o c h y b e z d y m n e, powstałe przez proces nitrowania — wykazują przy b. niskich temperaturach m n i e j s z e n a p i ę c i e g a z ó w i — co za tem idzie — m n i e j s z ą c h y ż o ś ć p o c z ą t k o w ą.

Ta rubryka II potwierdza to w zupełności. Spadek chyżości jest stosunkowo duży, bo wynosi w kal. 12-tym 25—32 m/sec, zaś w 16-tym 36—44 m/sec — czyli, że im mniejszy kaliber, tem większa utrata chyżości.

Niewątpliwie może to dać się odczuć przy strzale do zwierzyny, szczególnie, jeśli się o tz. „zakładanie przed zwierza“ rozchodzi — co zresztą praktyka potwierdza.

Stan nabojów	Kaliber	Rotweil			Sokół			UWAGI
		$V_{12.5}$	P_1	P_2	$V_{12.5}$	P_1	P_2	
I. Normalne warunki Temperatura: + 4° C	kal. 12 2·2 g prochu 32 g śrutu	325 m/sec	259 atm	333 atm	325 m/sec	272 atm	315 atm	$V_{12.5}$: chyżość śrutu o średnicy 3.5 m/m w odległości 12·5 m od wylotu lufy. P_1 = ciśnienie w komorze prochowej. P_2 = ciśnienie u wylotu łuski 65 m/m długiej. Spłonki: Gevelot. Łuski: z fabryki Warsz. Spółki Myśliwskiej
	kal. 16 1·8 g prochu 28 g śrutu	325 m/sec	451 atm	601 atm	325 m/sec	409 atm	529 atm	
II. Mrożone przez 24 godziny w temperaturze: — 17° C	kal. 12 2·2 g prochu 32 g śrutu	300·7 m/sec	295 atm	357 atm	293·3 m/sec	289 atm	338 atm	
	kal. 16 1·8 g prochu 28 g śrutu	289·0 m/sec	323 atm	369 atm	291·8 m/sec	348 atm	421 atm	
III. Nagrzane przez 24 godziny w temperaturze: + 45° C	kal. 12 2·2 g prochu 32 g śrutu	334·3 m/sec	470 atm	620 atm	326·5 m/sec	463 atm	566 atm	
	kal. 12 1·8 g prochu 28 g śrutu	320·4 m/sec	471 atm	616 atm	305·2 m/sec	475 atm	554 atm	
IV. Suszone przez 2 godziny w temperaturze: + 80° C	kal. 12 2·2 g prochu 32 g śrutu	338·2 m/sec	679 atm	514 atm	220·7 m/sec	491 atm	613 atm	W tym stanie zawierał: Rotweil: 0·24% Sokół: 0·43% ciał lotnych
	kal. 16 1·8 g prochu 28 g śrutu	326·8 m/sec	756 atm	938 atm	310·7 m/sec	510 atm	618 atm	
V. Nawilżone przez 48 godzin	kal. 12 2·2 g prochu 32 g śrutu	299·8 m/sec	275 atm	341 atm	294·3 m/sec	257 atm	276 atm	W tym stanie zawierał: Rotweil: 3·27% Sokół: 2·53% ciał lotnych
	kal. 16 1·8 g prochu 28 g śrutu	283·9 m/sec	247 atm	286 atm	293·1	302 atm	314 atm	

Znany jest przecie objaw, że przy silnych mrozach zające, pozornie dobrze strzelone — zamiast rulować w ogniu — idą dalej i dopiero po przebyciu kilkudziesięciu a często i więcej kroków padają martwe; często obserwujemy strzały „za krótkie" (po tylnych partjach) i inne objawy mające swe źródło w zmniejszonej chyżości śrutu.

Również wykazuje rubryka II, że spadek ciśnienia gazów na ściany lufy jest znaczny.

Jeślibyśmy za źródłem tych objawów szukali — to łatwo je odkryć, strzelając na świeżym śniegu; na jego białej powłoce zobaczymy ogromną ilość niespalonych płatków prochu — czego przy normalnej temperaturze (np. —2° C) w tak dużej mierze nie obserwujemy.

Chcąc przy b. niskiej temperaturze cały nabój bezdymnego prochu wewnątrz lufy do spalenia zupełnego doprowadzić — trzebaby zmienić spłonkę normalną na daleko silniejszą. Usiłowano to osiągnąć, dając t. zw. podsypkę z czarnego prochu lub konstruując specjalne spłonki.

Podsypkę czarnego prochu osiąga się istotnie nawet na największym mrozie silny strzał — ale jest to dość ryzykowny eksperyment, bo ten sam nabój z podsypką wystrzelony w normalnej temperaturze wykazuje tak gwałtowne ciśnienie gazów, że trzeba się istotnie obawiać o całość broni.

Wielkość podsypki jest dla każdego prochu różna — zależnie od stopnia jego flegmatyczności; np. dawny austrjacki „proch śrutowy Nr. I", bardzo flegmatyczny, znosił nawet 0.25 gr. — O „Sokole" zaś słyszałem z ust kierujących inżynierów P. W. P. w Zagożdżoniu ostrzeżenie, że byłby to bardzo ryzykowny zabieg i że należy wszyskich myśliwych jak najsilniej przestrzec przed nim.

Czy jednak nasz surowy klimat, szczególnie w północnej części Państwa nie zmusi nas przecież z czasem do zajmowania się tym tematem — i, co za tem idzie — do konstrukcji specjalnych „zimowych ładunków" — to zostaje kwestją otwartą. Dla ścisłości zaznaczyć mi należy, że na krótki czas przed wybuchem wojny światowej, powagi w dziedzinie balistyki myśliwskiej w b. Austrji (np) Pangerth), zajmowały się tą sprawą poważnie; nawet były już projekty „ zimowych spłonek".

Rozwiązanie tego problemu wyobrażam sobie tylko w drodze konstrukcji takiej właśnie spłonki, której użycie musiałoby naturalnie gwarantować całość strzelby i wykluczać jej rozerwanie nawet po strzale w normalnej temperaturze; nie będzie to rzeczą łatwą.

Rubryka III.

Podaje nam rezultaty prób z prochami „Rottweil" i „Sokół" — nagrzanemi przez 24 godzin w temperaturze + 45° C. Jest to temperatura wprawdzie w naszym kraju nie zdarzająca się — ale mogą zajść zupełnie bezwiednie zbliżone sytuacje, w których może to mieć do pewnego stopnia miejsce np. wystawienie na silne działanie słońca w południowych krajach, użycie naszej amunicji przy okazji ekspedycyj myśliwskich np. w Afryce i t. p.

W każdym razie konieczną jest rzeczą wiedzieć, jak te prochy na nagrzanie wogóle reagują, bez względu na to, czy właśnie u nas z niem liczyć się potrzeba lub nie.

Próby wykazały, że co się chyżości tyczy, to w kal. 12-tym jest ona u „Rottweila" o kilka m/sec. większa (bez znaczenia!) — przy użyciu zaś „Sokoła" prawie równa, jak przy normalnej temperaturze.

W kal. 16-tym okazuje „Rottweil" trochę — bo ledwie o 5 m/sec. — zaś „Sokół" prawie o 20 m/sec. niższą (!) chyżość.

Jest to o tyle ciekawy objaw, że ciśnienia gazów są wszędzie większe, niż przy normalnej temperaturze.

Stoimy więc przed faktem — paradoksalnym na pozór — a mianowicie, że w kal. 16-tym mimo wyższego ciśnienia gazów mamy niższe chyżości. Jak to wytłómaczyć?

Pewne wskazówki daje nam stosunek P_1 do P_2 — mianowicie, skok w ciśnieniu gazów w komorze prochowej (P_1) jest stosunkowo wyższy, niż u wylotu łuski, bo wynosi np.

przy prochu „Rottweil":	P_1 = 451—471 = 20 atm	
	P_2 = 601—616 = 15 atm	
przy prochu „Sokół":	P_1 = 409—475 = 66 atm	
	P_2 = 529—554 = 25 atm	

To wskazuje, że proces spalania prochu ukończył się zupełnie, prawdopodobnie w dość dużej odległości od wylotu lufy — i w dalszym ciągu tarcie śrutu o ściany lufy spowodowało przy braku przyspieszenia ze strony prochu (bo ten się już zupełnie spalił) — tylko zmniejszenie chyżości, już uzyskanej — czyli, że zaistniała sytuacja, jak przy zanadto długiej lufie.

Zaznaczam, że jest to tylko moja hipoteza — oparta wprawdzie na powyżej przytoczonych datach i na teorji „balistyki wewnętrznej" ale czy trafna?

Zupełnie nie dziwiłbym się, gdyby jakiś mąż wiedzy i nauki wykazał, że się mylę. Dyskusja na ten temat byłaby w każdym razie bardzo ciekawa.

Dla myśliwego-praktyka jest to jednak sprawa dość bezprzedmiotowa.

Wystarczy mu wiedzieć, że różnice w chyżości są bez praktycznego znaczenia — a ciśnienie gazów takie, że mu żadną miarą luf nie rozerwie.

Rubryka IV.

Przygotowuje nam dalsze niespodzianki — które zdają się potwierdzać hipotezę o zupełnem spaleniu się prochu wewnątrz lufy daleko przed wylotem — a u „Rottweila" zaczynają przybierać niesamowity charakter.

Poddano mianowicie oba gatunki prochów bardzo intensywnemu suszeniu (przez 2 godz. w temperaturze + 80° C) — i skonstatowano przedewszystkiem w kalibrze 12-tym u „Rottweila", że P_1 osiągnęło niebywałe napięcie (679 atm) — a P_2 jest mniejsze od P_1 (514 atm) — chyżość zaś (mimo tego, jak na kaliber 12-ty ogromnego ciśnienia) ledwie 338 m/sec.

U „Sokoła" są w kalibrze 12-tym wprawdzie dość duże ciśnienia (P_1 = 491 atm, P_2 = 613 atm) i większe, niż przy nagrzanym prochu — ale jeszcze w dopuszczalnych granicach; chyżość jest nieco mniejsza, (320 m/sec).

W kalibrze 16-tym przedstawia się sprawa u „Rottweila" już niebezpiecznie, bo P_1 = 756 atm a P_2 = 938 atm (!) — a wiadomo jest, że śrutowe strzelby probuje się do granicy 850 atm.

Należy więc tylko doskonałemu materjałowi przypisać, że nie nastąpiło pęknięcie lufy. Przytem pozorny paradoks, że mimo tak olbrzymiego ciśnienia wynosi chyżość prawie tyle, co w normalnych warunkach, bo ledwie 326 m/sec.

„Sokół" w kalibrze 16-tym okazuje wprawdzie większe ciśnienia, ale dochodzące ledwie do 618 atm — a chyżość 310 m/sec.

Te małe chyżości przy nieproporcjonalnie dużych ciśnieniach możnaby uważać za potwierdzenie mojej powyżej postawionej hypotezy.

Te bardzo pouczające próby ze śrutowemi prochami wykazały w całej jaskrawości wyższość „Sokoła" nad „Rottweilem".

Wszak każdy przyzna, że używanie prochu, który intensywnie wysuszony wywołuje w lufie ciśnienie powyżej granicy, do jakiej się wytrzymałość broni w ogóle próbuje — nie działa uspokajająco na strzelającego — podczas gdy „Sokół" żadnych tego rodzaju niespodzianek, zagrażających zdrowiu strzelca i całości broni — nie zna.

Tę swoją wyższość zawdzięcza nasz polski proch bardziej umiejętnemu procesowi flegmatyzowania nitrocelulozy przy jego fabrykacji.

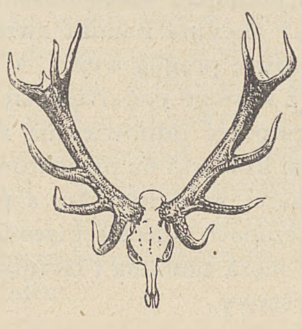
Rybryka V.

Obejmuje rezultaty prób z nawilżonemi prochami. Że nawilżony proch mniejszą chyżość dawać musi — to rzecz jasna.

Próby wykazały, że chyżości śrutów, nadane przez nawilżone prochy są mniej więcej takie, jak przy zamrożonych; jedynie ciśnienia na ściany lufy są najniższe ze wszystkich dotąd przy próbach obserwowanych.

Kończąc niniejszy artykuł, przychodzę — mimo całego objektywizmu i sprawiedliwego krytycyzmu, z jakim te próby traktowałem do wniosku, że nasz „Sokół" wytrzymuje dzielnie na całej linji porównanie ze światowej sławy „Rottweilem" — a nawet w pewnych warunkach go przewyższa.

Św. Hubertowi Cześć!



Ubicie dwóch żubrów w Pszczynie

W ostatnich czasach prasa codzienna doniosła, że w Pszczynie na Górnym Śląsku padły na polowaniu dwa żubry, byk i krowa i że tego odstrzału dokonał mrg. Aleksander Wielopolski.

Wiadomość ta zaniepokoiła wielce naszą opinię publiczną, że i tym ostatnim zabytkom królewskiego zwierza, znajdującym się w zwierzyńcu pszczyńskim, po których spodziewaliśmy się dochowku i zasilenia nim kiedyś w przyszłości stanu żubrów w ich właściwej ostoi, w Puszczy Białowieskiej, a które uważaliśmy za nietykalne, grozi widocznie zagłada.

Otóż, jak nas z miarodajnych i wiarogodnych źródeł informują, dwie te sztuki skazano na odstrzał, ze względów hodowlanych; krowa liczyła lat 30 i od 3 lat była jałową, byk zaś okulawiony i uszkodzony przez starszego byka, nie był zdolny do rozpłodu.

Krowę ubił margr. Wielopolski na podchodnem, byka zaś przed nagonką.

Przyszłość żubrów w Pszczynie rokuje na przyszłość jaknajlepsze nadzieje. Zeszłoroczny przybytek skompletował ich stan do 8 sztuk, (3 byki, 3 krowy, z tych 2 cielne i 2 jałówki), po odstrzeleniu więc dwóch, pozostało 6 zdrowych i dorodnych sztuk.

W r. 1919 stan żubrów w Pszczynie wynosił 74 sztuk, w tem 9 byków powyżej 2 lat, 2 byki roczne, 43 krowy, 6 jałówek i 14 cieląt. Odstrzał wynosił 6—7 sztuk rocznie.

Niestety zawierucha powojenna na Śląsku zredukowała tego królewskiego zwierza do stanu dzisiejszego.

Obok żubrów, żyje tam obecnie 580 jeleni, 20 jeleni japońskich Sikka, 150 dzików i 250 danieli w ogrodzonej przestrzeni 10.000 ha.

Red.



✝

Ś. p. Teofil Odrowąż Wysocki

długoletni członek i delegat Małop. Tow. Łow. na powiat Oświęcim, właściciel dóbr Polanka-Wielka, prezes okręgowego Tow. Rol., kawaler orderu „Polonia Restituta"

zmarł dnia 17 lutego 1931 r., przeżywszy lat 60.

Cześć Jego pamięci!

KORESPONDENCJE

Żydaczów, 15 stycznia 1931 r.

W maju ubiegłego roku stałem z wędką nad rzeką Stryjem pod Żydaczowem w towarzystwie p. W., a ponieważ „ryba nie brała" więc usiadłszy na krzesełku myśliwskiem, słuchałem śpiewu słowików i bawiłem wzrok srebrzystą powierzchnią rzeki, ponad którą bujała mewa-śmieszka, rzucając się od czasu do czasu w wodę za zdobyczą.

Nagle z góry rzeki nisko nadleciało stado czarnych ptaków w liczbie około 20 sztuk, zupełnie podobnych tak wielkością, jak kształtem i sposobem lotu do mewy-śmieszki.

Ponieważ, będąc długie lata przy regulacji rzek i interesując się specjalnie ornitologją, podobnych ptaków nigdy nie zaobserwowałem i w Brehmie nie mogłem znaleźć podobnej odmiany mewy, przeto podaję fakt ten do „Łowca" z prośbą o wyjaśnienie.

Wykwitem bujnej wyobraźni nie mogło to być, gdyż mój towarzysz p. W., zupełnie zgodnie ze mną to samo zauważył.

Ptaki — niezatrzymując się — poleciały dalej w dół rzeki ku ujściu do Dniestru a wciąż nisko ponad wodą.

Inż. Antoni Korasiewicz

* * *

Z tak skąpego opisu widzianych przez Sz. Korespondenta ptaków, trudno oznaczyć ich gatunek. Mogły być to rybołówki czarne (sterna nigra), te są jednak od mew śmieszek mniejsze. Mogły to być też wydrzyki, pasorzytny, białopióry lub długoogonowy (Stercorarius parasiticus, Larus catarractes, Stercorarius crepidatus). Te gatunki są jednak u nas wielką rzadkością.

A. M.

Łukawica, dnia 1 lutego 1931 r.

Spis zwierzyny szkodliwej i pożytecznej, ubitej w roku 1930, na terenie dóbr Łukawica obok Stryja.

Wilków 2, lisów 27, psów 261, kotów 312, łasic 32, borsuków 6, orłów przednich 5, gołębiarzy 40, innych drapieżnych 305, wron 630, srok 389, czapel 119, kruków 12, puhaczy 4, sów 18. — Razem sztuk 2.162.

Pożyteczne: Dzików 10, rogaczy 3, zajęcy 265, kaczek pędzonych 215, kszyków pędzonych 79, jarząbków 6. — Razem 578.

B.

W sali Magistratu miasta Kęt przy udziale Zwierzchności z burmistrzem na czele, odbyło się w dniu 18 stycznia 1931, uroczyste wręczenie odznaki i dyplomu M. T. Ł. inspektorowi Policji P. Niwelińskiemu, za działalność na polu podniesienia kultury łowieckiej. Po okolicznościowem przemówieniu i udekorowaniu p. Niwelińskiego przez delegata, przemówił burmistrz p. Zajączek, dzierżawca tutejszego okręgu polowania, podnosząc w gorących słowach czujność M. T. Ł. na polu ochrony łowiectwa. W końcu nastąpiło wspólne zdjęcie fotogr.

S. T.

Równocześnie podaję wynik z trzech polowań:

W dniu 17 listopada i 23 grudnia 1930. odbyło się polowanie na terenie miasta Kęt, dzierżawionym przez p. Zajączka i p. Thena. 17 listopada, polowano w lesie przy fatalnej pogodzie, gdzie odstrzelono w 10 strzelb 10 zajęcy i 2 lisy. — W dniu 23 grudnia na polach ,odstrzelono w 8 strzelb 53 zajęcy. W lesie zostawiono ½ a na polach ⅓ terenu nienaruszonego. Stan przez zasilenie wprowadzonemi z Wiener - Neustadt w r. 1929 zajęcy jest dobry, kuropatw bardzo dobry.

S. T.

Czaniec Mały, p. Kęty 31 stycznia 1931 r.

W dniu 10 stycznia b. r. odbyło się polowanie w Nowej Wsi pow. Biała własność p. Dr. Chrzanowskiego. Odstrzelono w 8 strzelb 50 zajęcy, pozostawiając ⅓ terenu t. j. wikliny, nieopolowane. Widać tutaj troskę p. Dr. Chrzanowskiego o zwierzynę, bo wydzierżawiając przed 2 laty teren gminny, wyniszczony przez spółkę, dalej przez zimę 1928 r. do reszty, podniósł stan zwierzyny bardzo wysoko. Oby takich hodowców więcej było.

Cześć św. Hubertowi! *Stanisław Then*
delegat

Z powodu braku miejsca dalszy ciąg sprawozdań z polowań podamy w najbliższym numerze.



Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału Małop. Tow. Łowieckiego w dniu 9 lutego 1931 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi C. Czarkowski-Golejewski, A, Mniszek, i A. Sander, członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, A. Ebenberger, Wł. Garapich, dr. A. Małaczyński, dr. Fr. Piechowski, St. Pieńczykowski i A. Ulm, zastępca St. Madeyski.

Nieobecność usprawiedliwili: T. Barański, St. Jaśkiewicz, dr. J. Rosienkiewicz i dr. W. Ziembicki.

Mianowano delegatami: Kazimierza Golenia w Pniatynie w powiecie przemyślańskim, Zygmunta Lachmana w Jarosławiu i Adama Remiszewskiego w Przeworsku, w odnośnych powiatach, a przyjęto do wiadomości rezygnację Leopolda Łysakowskiego z powiatu kołomyjskiego, Kazimierza Pogonowskiego, z powiatu przeworskiego i inż. Franciszka Kolba z powiatu nadwórniańskiego.

W poczet członków zostali przyjęci: Jerzy hr. Baworowski we Lwowie, Stanisław Jastrzębski w Podhajcach, inż. Tadeusz Kobylański w Kołomyi, Zygmunt Lachman w Jarosławiu i Juljusz Linde w Czeremchowie, pow. Kołomyja.

Prezes podał do wiadomości Wydziału, że został powiadomiony, iż strzelanie narodowe w tym roku nie odbędzie się wcale, zaś zawody strzeleckie międzynarodowe odbędą się w sierpniu. — Okoliczności te umożliwiają odbycie Zjazdu M. T. Ł. w zwykłym terminie czerwcowym.

Na wniosek Wł. Garapicha uchwalono zamknąć na łamach „Łowca" dalszą dyskusję w sprawie czasu i sposobu odstrzału jeleni.

St. Madeyski podał do wiadomości, że organizuje się poważna Spółka akcyjna handlu zwierzyną i drobiem i że jej inicjatorowie pragną wejść w kontakt z Prezydjum M. T. Ł., z którego poparciem się liczą.

Uchwalono poprzeć odpowiednią reklamą i zachętą w „Łowcu" dział łowiecki na projektowanej w tym roku Wystawie rolniczej w Tarnopolu, a p. Józefa Scholza, delegata w Brzeżanach uprosić pisemnie, by się podjął funkcji naszego męża zaufania i łącznika M. T. Ł. z Komitetem tej Wystawy.

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału Małop. Tow. Łowieckiego w dniu 18 lutego 1931 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, T. Jędrzejowicz, Wł. Garapich, dr. A. Małaczyński, dr. Fr. Piechowski, St. Pieńczykowski, dr. J. Rosienkiewicz i A. Ulm, zastępcy St. Jaśkiewicz i Fr. hr. Meraviglia.

Nieobecność usprawiedliwili: C. Czarkowski-Golejewski i H. Prek.

Załatwiono pisma dwóch Urzędów wojewódzkich zapytujących o stosunki łowieckie.

Na wniosek dr. J. Rosienkiewicza uchwalono odnieść się do dotyczących Zarządów lasów w Karpatach wschodnich o daty statystyczne stanu niedźwiedzi.

KOMUNIKATY

W dniu 24 lutego br. otrzymaliśmy (Wydział M. T. Ł. i Redakcja „Łowca“) od P. Prof. Władysława Szafera następujące pismo:

Delegat Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego do Spraw Ochrony Przyrody
Kraków, Lubicz 46. Telefon 28.

Kraków, 20 lutego 1193 r.

L. 633/31
W sprawie: zabicia piastuna i niedźwiedzicy w Mizuniu.

Zabicie piastuna i niedźwiedzicy w Mizuniu

Wobec artykułu, jaki ukazał się w numerze 7 czasopisma „Światowid“ z dnia 14 lutego 1931 r. pt. „Polowanie na niedźwiedzie w Karpatach“, w którym w sposób niezgodny z prawdą opisano polowanie hr. Adama Zamoyskiego i hr. Potockiego na niedźwiedzie w Mizuniu, przesyłam opis faktycznego przebiegu polowania.

Po ustawieniu linji myśliwych w odległości ok. 20 m od wylotu gawry, puszczono dwa psy. Gdy te zbliżyły się do gawry i zwietrzyły zwierza, jeden uciekł, a drugi został przy gawrze i naszczekiwał. Ponieważ dłuższy czas to trwało, a zwierz mimo puszczenia dalszych psów nie wychodził, oddał hr. Zamoyski strzał nad gawrę, aby gu ruszyć. Wtedy wyszedł z gawry piastun i powoli skierował się w dół. W tym momencie strzelił hr. Potocki i postrzelił go w kręgosłup. Niedźwiadek jęcząc, ruszył dalej wdół (w bok od linji myśliwych) i rozpoczął bronić się przeciw psom, które go opadły. Za chwilę pojawiła się w ujściu gawry niedźwiedzica i wyszedłszy, stanęła tuż przy gawrze, uniosła się nieco na tylne nogi, poczem zwróciła się w bok (nie do linji strzelców) i szła zwrócona bokiem do strzelców w stronę, gdzie niedźwiadek borykał się z psami. Wtedy padł strzał i niedźwiedzica upadła o jakieś 4 m od gawry i gdy się jeszcze ruszała padł drugi strzał (strzelał obydwa razy hr. Potocki), który ją dobił. Następnie wyszedł z gawry drugi piastun i skręciwszy szybko za drzewo, uszedł w tył niestrzelany. Postrzelonego piastuna dobito ostatnim tj. czwartym strzałem.

Z powyższego opisu wynika:

1) że hr. Alfred Potocki oddał pierwszy strzał do piastuna,

2) że hr. Alfred Potocki strzelił następnie do niedźwiedzicy, która nietylko nie szarżowała myśliwych, ale wyszedłszy z gawry, zaraz skierowała się w bok, ku postrzelonemu niedźwiadkowi.

Prof. Dr. Władysław Szafer

—o—

W związku z powyższą sprawą dzierżawca polowania w Sołotwinie Mizuńskiej i świadek naoczny opisanego powyżej zdarzenia, Adam hr. Zamoyski, złożył w międzyczasie na ręce Prof. Szafera pisemne oświadczenie, którego treść zakomunikował nam p. Profesor w dniu 2 marca br., a które wyświetla szczegóły i przebieg całego incydentu. — Podajemy je poniżej w dosłownem brzmieniu:

Moje oświadczenie w sprawie obławy filmowej na niedźwiedzia w Sołotwinie Mizuńskiej, złożone na ręce Pana Prof. Władysława Szafera Delegata Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego do spraw ochrony przyrody:

Wobec niedokładnego artykułu „Światowida“ z dnia 14 lutego 1931 r. wydanego bez porozumienia się ze mną „polowanie na niedźwiedzia w Karpatach“, oświadczam w skróceniu co następuje:

W pierwszych dniach stycznia br. odkryto przypadkiem gawrę niedźwiedzia w Sołotwinie M. — rzecz niebywała dotąd w Karpatach. Skonstatowano przez doskonałego strażnika (na co posiadam dokładne dowody), że w gawrze b. gruby niedźwiedź. — Przyszło mi na myśl, aby zrobić obławę z psami, kinematografem i fototeleskopem i w ten sposób dostarczyć polskiemu łowiectwu fotografij i filmu jeszcze u nas nieznanych.

Ponieważ sam do niedźwiedzi nie strzelam, bo dzierżawiąc znaczne obszary od rządu przez 12 lat, zabiłem i strzelałem tylko do dwóch niedźwiedzi (niezwykle wielkich), które zmuszony byłem z rewirów usunąć bo jeden z nich ludzi napadał a drugi bydło pasące się w lasach niszczył, zaprosiłem do ewentualnego strzału a głównie jako widza hr. Alfreda Potockiego.

Po trudach stanęliśmy pod gawrą, niestety w bardzo licznej kompanji — około 20-tu ludzi rozstawionych w półkole a poniżej konie. — Puszczono psy — po chwili wypadł półtoraroczny piastun — odrazu zrozumiałem i grozę sytuacji i pomyłkę nad wyraz przykrą — że ten gruby niedźwiedź kilkakrotkie i dokładnie podpatrywany był niedźwiedzicą z piastunami. Mimo mej komendy „nie strzelać“ padł strzał (o ile na śniegu potem skonstatować mogłem, chybiony ale to szczegół). Hr. Potocki, który pierwszy raz polował na niedźwiedzia, w ogólnem napięciu nerwów mylnie zrozumiał. — Piastuna psy otoczyły — po kilku minutach wypadła galopem niedźwiedzica, słysząc pomruki piastuna psami otoczonego i ubiegłszy kilkanaście kroków, legła rażona dwoma strzałami hr. Potockiego.

Czy można było bez narażenia mej za licznej kompanji do tej podrażnionej niedźwiedzicy nie strzelać, lub może później strzelić, to pragnę graficznie przedstawić i udowodnić tam, gdzie będzie potrzeba.

Tylko starszy i wytrawny myśliwy, który z niedźwiedziami miewał spotkania, może taką rzecz słusznie osądzić.

Drugi piastun, szczęśliwie nie atakowany przez psy, kilka minut potem uszedł zdrowo w las.

Jedno wiedziałem napewno: że w razie nieszczęścia cała odpowiedzialność na mych barkach spoczywała.

Ponieważ doszły do mej wiadomości różne krytyki i zarzuty o tej wyprawie myśliwskiej, której rezultat mnie samego bardzo zmartwił, pragnę sprawę rzeczowo i we właściwym świetle przedstawić.

Z poważaniem

Adam Zdzisław Zamoyski

Dodatek do karmy na przyrost rogów u jeleni i sarn

Wiadomo, że dodatkiem do karmy działającym na porost rogów jest fosforan wapna. Na 30 do 40 klg siana lub owsa należy dodać 1 klg fosforanu wapna (posypać i skropić wodą, aby wiatr nie rozdmuchiwał).

Najlepiej jednak i najskuteczniej podawać fosforan wapna w lizawkach, szczególnie w obecnej przedwiosennej porze. Urządzać je należy w następujący sposób: 10 klg czystej, wolnej od piasku gliny rozrobić na papkę w czystej wodzie, dodać 2 klg soli kuchennej lub 3 klg soli bydlęcej, gdy to gotowe, dodać 1 do 2 klg fosforanu wapna i dobrze wymieszać. Masę tę podzielić na 3 lizawki, które najskuteczniejsze są, gdy są kamienne, bo w drzewo wsiąka bardzo prędko wilgoć. Dla przywabienia zwierzyny do lizawek, posypać je zwierzchu szczyptą ziarn anyżowych. *A. M.*

Wojewódzka Komisja Turystyczna zawiadamia nas, że Wojewódzka Wystawa Turystyczno-Krajoznawcza przy współudziale Zarządu Miejskiego Muzeum Przemysłu artystycznego we Lwowie i Lwowskiego Komitetu Państwowej Rady Ochrony Przyrody, odbędzie się w czasie od 8 do 22 marca w salach Muzeum.

Celem wystawy jest propaganda znajomości kultury i sztuki polskiej, piękna kraju ojczystego i bogactwa flory i fauny w przyrodzie, wśród szerszych warstw Społeczeństwa lwowskiego a w szczególności wśród młodzieży szkolnej i wojska.

Eksponaty wystawowe przedstawiać mają o ile możności wszystkie działy w powyższej treści podane, a na terenie Województwa lwowskiego się znajdujące.

Uznając znakomite cele takiej Wystawy, zachęcamy gorąco naszych członków, by nie omieszkali Wystawę tę zwiedzić.



ODEZWA

do myśliwych Małopolski wschodniej

Z początkiem br. wyłonił się z szerokich sfer społeczeństwa Komitet Obywatelski celem urządzenia Wojewódzkiej Wystawy Rolniczej i Regjonalnej w Tarnopolu, która otwartą zostanie 23 czerwca 1931 r.

W Wystawie tej do działów dotychczasowego typu dodany będzie dział oświatowo-poglądowy ilustrujący korzyści względnie straty jakie uzyskuje rolnik, przemysłowiec czy konsument przy postępie pracy w danej gałęzi produkcji.

Dział Wystawy Regjonalnej przedstawiając właściwości całego terenu wykaże specyficzne wartości Podola, które przez swą odrębność stanowić będą przedmiot zainteresowania materjalnego i duchowego innych ziem Państwa.

Celem zrealizowania tych zamierzeń powołana też została Sekcja Leśna i Łowiecka, na której czele stanął jako Prezes Jerzy hr. Potocki z Pomorzan, jako wicepr. p. Bolesław Czuruk dyrektor dóbr w Raju poczta Brzeżany, jako kierownik tej sekcji p. inż. Marek z Delegatury Małop. Tow. Roln. w Tarnopolu.

Protektorat nad Wystawą objęli Panowie Ministrowie: Rolnictwa, Przemysłu i Handlu, zaś Prezesem honorowym Wystawy jest Pan Wojewoda tarnopolski.

Wychodząc z założenia, że tak ważny dział gospodarstwa krajowego, jakim jest myślistwo powinien być odpowiednio do swego znaczenia na wystawie reprezentowany i czyniąc zadość wyrażonej prośbie Komitetu wystawy, apelujemy do ogółu myśliwych na Podolu, a do członków naszych i delegatów w szczególności, aby zechcieli zebrać i wysłać na wystawę eksponaty, wykresy oraz sprawozdania o stanie myślistwa i tem przyczynili się do należytego przedstawienia całokształtu stanu gospodarczego Podola.

Jako zastępcę M. T. Ł. na wystawę upraszamy równocześnie p. Józefa Scholza, delegata naszego w Brzeżanach, który niezawodnie zechce pośredniczyć między Komitetem wystawy a ogółem myśliwych Podola.

Równocześnie odnosimy się do naszego delegata powiatu tarnopolskiego p. W. Czarkowskiego-Golejewskiego, aby jako najbliższy miejsca Wystawy udzielił tak Komitetowi wystawy, jako też myśliwym poparcia.

Wydział M. T. Ł.

SPROSTOWANIA

W nr. 4-tym „Łowca" z 16 lutego 1931, na stronie 63 w korespondencji o polowaniach w kluczu starosielskim prostuje się, że w Romanowie ubito w 4 miotach i 3 kotłach 150 zajęcy i 5 lisów.

W Nr. 4 „Łowca" z d. 16 lutego 1931 na stronie 62, szpalta druga, wiersz 12 od góry w korespondencji „Polowanie w Weryni" zamiast słów „1 lis i 259 zajęcy" ma być: **„1 lis i 295 zajęcy"**.

Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli: Jan Piekarczyk zł 2.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85-16